

Drink, który uratował życie

1974 rok, Niamej, Niger, Afryka Zachodnia. Czarny Ląd przeistoczył się w Trzeci Świat, po wyjeździe białych, trzysta milionów ludzi prostowało plecy po okresie niewolniczego wyzysku, zmieniały się strefy wpływów i powstawały nowe państwa. Afrykański model socjalizmu rozwijał się w kierunku dyktatury, destrukcji i wszechobecnej korupcji. Kraje pogrążyły się w nędzy. Przebudzony kontynent stał się areną wojen etnicznych, niekończących się bratobójczych walk i krwawych zamachów stanu, wielkim tygłem fermentujących nastrojów i przeobrażeń. Kraje, plemiona, rody wpadały w sidła lokalnych kacyków. Rację ma ten, kto posiada większą i bardziej bezwzględną armię. Strzelaniny, plamy krwi na maczetach, uzbrojeni staruszkowie i mali chłopcy, którzy ciągną za sobą kałasznikowa, nie mogą go unieść. Nie potrafią pisać, śpiewać, łowić ryb, ale nauczyli się już zabijać. Terror i śmierć.

Jacek Pałkiewicz

28 marca 2024

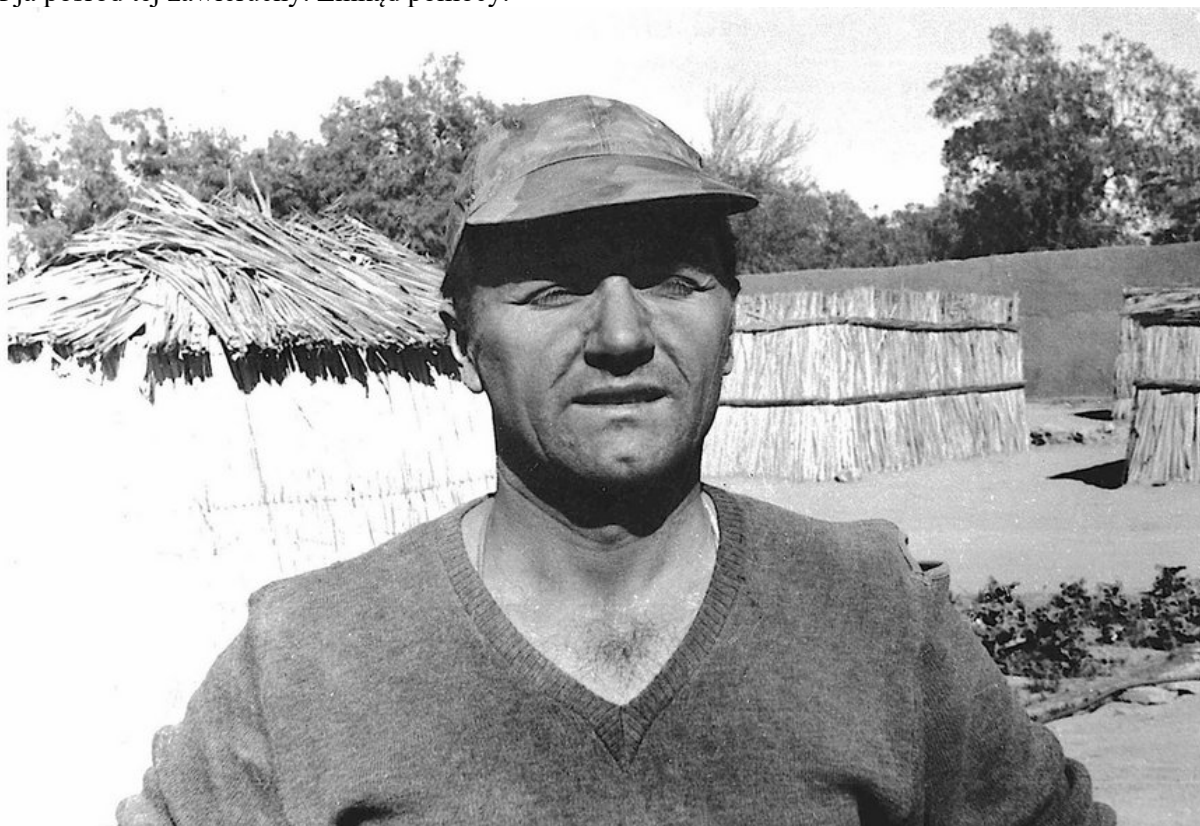


Autor na ruchomych wydmach Ténéré, pustynnego regionu w obrębie południowej Sahary (Niger 1974 r.)

Właśnie odniósł sukces wojskowy zamach stanu pod wodzą 43-letniego pułkownika Seyniego Kountché. Zbuntowane wojsko przeprowadziło atak na pałac prezydencki. Żołnierze ostrzelali budynek z ciężkiej broni, potem uwięzili głowę państwa Hamaniego Diori. Były śmiertelne ofiary po obu stronach konfliktu. Granice zostały zamknięte, wprowadzono stan wyjątkowy. Państwowe radio podczas próby zamachu przestało transmitować

normalny program i rozpoczęło nadawanie pieśni wojskowych. Czołgi na ulicach, pośród nich ciała zabitych, jęk rannych. Przedstawiciel prasowy junty wojskowej ogłasza, że została unieważniona konstytucja.

I ja pośród tej zawieruchy. Znikąd pomocy.



Jacek Pałkiewicz w Nigrze (1974 r.), który kilkanaście lat wcześniej uzyskał niepodległość

W samo południe przykucnąłem za stosem cegieł ustawionym przy jednym ze skrzyżowań. Jediną moją bronią stanowi aparat Nikon z teleobiektywem. Celuję więc w grupki żołdaków, czy jak ich tam zwał, dokumentując zamieszki. Żar leje się z nieba, słońce w zenicie, postacie depczą po własnych cieniach, przejeżdżając rozklekotane terenówki wzniecając ogromne chmury pyłu, który drażni oczy, nos, nie pozwala oddychać. Woda w manierce dawno się skończyła, język przysycha do podniebienia. Celuję dokładnie – wiem, że mam ograniczoną liczbę klisz, a na każdej zmieści się co najwyżej 36 fotografii. A w tym na wpół zrujnowanym piekle nie podbiegnę z kartą kredytową do sklepu Kodaka po nowe rolki. Z gotówką zresztą też nie – bo musiałbym być długodystansowcem i biec dobre tysiąc kilometrów do sąsiedniego kraju.

Przymierzam się więc jak snajper do kolejnego strzału, skracam czas, otwieram przysłonę i... Narastający ryk małego silnika pracującego na wysokich obrotach zmusza mnie do odwrócenia głowy. Zielony jeep willys bez drzwi i szyb zatrzymuje się właśnie z głośnym piskiem metr ode mnie, szorując łysymi oponami po resztkach gruzu ze zbombardowanego dzisiaj rano pobliskiego banku. Jeszcze kawałek, a bok auta przygniótłby mnie do stosu cegieł. Nie tym jednak się zajmuję, nie ma czasu na "co by było, gdyby".

Zerkam w górę, pod słońce. Wielką rozjarzoną tarczę przesłania mi sylwetka hebanowej, muskularnej postaci w zielonym mundurze komandosa. Łysą głowę przykrywa zielony beret, lewa ręka, choć owinięta bandażem i zakrwawiona, pewnie trzyma zszarzałego kałacha. Palec prawej bieleje na spuście. "Czy to już? Czy tak właśnie skończy życie?" – kłębi mi się pod czaszką, gdy drugi z komandosów wyszarpuje mi z kieszeni dokumenty i pieniądze. Paszport ląduje na ziemi, ale 20-dolarowy banknot znika w kieszeni wojaka. Wstrzymuję oddech, czuję, że oddychanie jest przereklamowane, nie potrzeba mi wcale tlenu! 30 st. C, 90 proc. wilgotności powietrza – a mnie robi się zimno. Tak wiele miejsc odwiedziłem, tyle poznałem zakątków, tajemnic, tylu wspaniałych ludzi i tyle pojętych kobiet. Ale chciałoby się jeszcze i jeszcze. Czy to koniec?

Ten bielejący na spuście palec rośnie mi w oczach, nie widzę już nic poza nim, mam przed sobą palec gigant, oto król palców, pan życia i śmierci. Śmierci przede wszystkim. Odruchowo powoli odkładam aparat i sięgam po dokumenty leżące na ziemi. Mój włoski paszport, automatycznie świadczący o neutralnym stosunku do wszelkich konfliktów, parę razy spisał się lepiej niż kuloodporna kamizelka, której zresztą w tej chwili nie mam na sobie.

Poza tym – na cóż by mi się przydała, gdy lufa karabinu celuje w moją głowę, a ja odnoszę wrażenie, że lewym okiem zerkam w ciemną czelusć wylotu tunelu, modląc się w duchu, aby pociąg pospieszny tym razem nie spieszył się za bardzo?!

Po chwili docierają do mnie krzyki czterech rozjuszonych, młodych wywrotowców. Wśród absolutnie niezrozumiałych dla mnie lokalnych słów wielokrotnie pada jeden angielski wyraz: – Spy! Spy! You are death! Na próżno tłumaczę, że żaden ze mnie szpieg, unoszę nad głowę kartę prasową, pokazuję aparat. Młodzi wojacy, którzy być może jeszcze niedawno posługiwali się dzidami, zostali przez wojnę awansowani do funkcji nowoczesnych żołnierzy. Ich mentalność jednak nie nadała za techniką i jedyne, czego teraz pragną, to zabić kolejnego wroga. Nawet hipotetycznego. – Jesteś amerykańskim szpiegiem! – próbuje mnie przekonać komandos. Nie mam czasu na żal za grzechy. Dużo ich przecież było. Nie mam czasu na szybką modlitwę. Na nic. Unoszę twarz i spoglądam młodemu byczkowi w oczy. Jeśli to ma być moja ostatnia chwila, nie mam zamiaru umrzeć jak jagnię.

Zanim jakikolwiek nowy pomysł na wybawienie z opresji przychodzi mi do głowy, słyszę jazgot kolejnego silnika i identyczny z poprzednim szum opon na zapyłonym asfalcie. W środku jeepa dwóch żołdatów, w identycznych mundurach. Czy to lepiej? Może powstanie konflikt idei, może zechcą mnie aresztować i przesłuchiwać, może jakaś łapówka? Badam świat wokół siebie. Szukam okazji do ucieczki albo pretekstu do negocjacji. Nie poddam się – nie wiem nawet, jak miałbym się do tego zabrać. Nagle zatrzymuję wzrok na szerokiej twarzy oficera, który wyskoczył właśnie z pojazdu. Chociaż Europejczykom wszyscy Afrykanie wydają się podobni, w mojej głowie błyska żaróweczka z napisem: "Skąd ja go znam?". Gdzieś już widziałem te mięsiste, niesymetryczne usta...

Tak! Na Boga, tak! Wstaję powoli, aby moi młodzi oprawcy nie uznali ruchu za prośbę o egzekucję i wyciągam rękę. Otto, członek plemienia Joruba z południowo-zachodniej części Nigerii, oficer dowodzący jednostką chroniącą porządek w centrum miasta, uśmiecha się szeroko i podaje mi dłoń. Jego gest i kilka szybko rzuconych słów zmieniają moją pozycję z ofiary w przyjaciela. Ten, który nieomal mnie zastrzelił, odkłada karabin, szczerzy niewiarygodnie białe zęby i klepie mnie po prawym ramieniu. Zaraz potem wskakuje do auta. Kolejny tuman kurzu – i pogromcy szpiegów przepadają w zaśmieconych uliczkach jak nocne mary.

A Otto zaprasza mnie do samochodu i wskazującym palcem prawej ręki stuka się znacząco w szyję. Nauczył się tego ode mnie – wczoraj, gdy w hotelu Transcorp Hilton przez pół wieczoru stawiałem mu drinki.

Na podstawie "Oblicza strachu" J. Pałkiewicza (Wyd. Czerwone i Czarne, 2015)

Jacek Pałkiewicz, reporter, podróżnik, odkrywca źródła Amazonki, twórca pierwszej w Europie szkoły survivalowej. Szkolił kosmonautów i elitarne jednostki antyterrorystyczne sztuki przetrwania w ekstremalnych środowiskach. Autor bestsellerowych książek, m.in.: Pasja życia, Dubaj, Syberia. Zob. www.palkiewicz.com